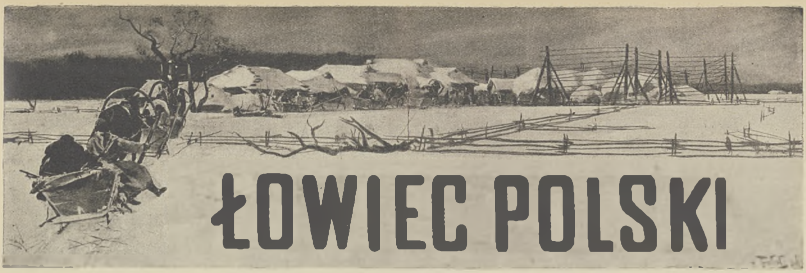


Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 107

№ 17.	Warszawa, 19 sierpnia (1 września) 1903 r.	Rok V.
	Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.	

WYSTAWA PSÓW.







„Tytan“, saint-bernard— p. Jana Strzaleckiego (medal srebrny).
„Lord“, dog—p. Adelstejna (medal srebrny). „Iskra“, charcica angielska p. L. Kabacznika, (medal srebrny).

PSY OSTROUCHE.

II.

Klasyfikacya tej grupy na poddziały, obejmujące pewną liczbę ras, więcej do siebie zbliżonych, jest bardzo trudną, tak z powodu dużej ilości ras, zamieszkujących od niepamiętnych czasów całą kulę ziemską, jak i z powodu niedostatecznie określonych cech typowych dla większości tych ras.

Najodpowiedniejszym zdaje mi się podział na dwa następujące oddziały:

1) Ras hodowanych sposobem pierwotnym, bez ściśle ustanowionych cech typowych, lecz odpowiadających ogólnym cechom psów ostrouchych, bez widocznych śladów krzyżowania z psami, należącemi do innych grup.

2) Ras o cechach ściśle określonych przez odpowiednie kluby i hodowanych obecnie w zupełnej czystości.

Pozatem będę się przytrzymywał rozmieszczenia geograficznego, grupując poszczególne rasy podług stref, przez nie zamieszkanych.

Zacznę od psów należących do pierwszego z powyższych oddziałów, a z pomiędzy nich od szczekaczy północnych, jako najbardziej mogących interesować czytelników myśliwych.

Szczekacze (łajki) północne.

Pierwotne ludy zamieszkujące północno-wschodnie ziemie Rosyi europejskiej, a także całą Syberyę, oraz rosyjscy koloniści w tych krajach, używają do polowania różnych odmian psów ostrouchych, pod ogólną nazwą „łajek“. Od kilku dziesiątków lat psy te zwróciły uwagę i inteligentnych rosyjskich myśliwych, pomiędzy którymi znalazła się pewna liczba, upatrująca w szczekaczach materyał do wytworzenia znakomitej, uniwersalnej rasy psów myśliwskich. Do tej liczby należał zmarły przed paru laty L. Sabaniejew, autor znakomitego dzieła o psach; z żyjących zaś najwięcej się zajmują tą sprawą: książę Szyrinskij-Szichmatow i pani Sulima-Dmitriewowa. Pierwszy z nich, człowiek bardzo zamożny i doskonały myśliwy, poświęcił i poświęca wiele czasu i kosztów na naukowe zbadanie i klasyfikacyę różnych odmian psów północnych, rezultaty zaś dotychczasowych prac ogłosił w dziale pod tytułem „Pies północny“ *(Siewiernaja sobaka)*. Pani Dmitriewowa zaś, jako kobieta, więcej daje się unosić stronnemu zapałowi; w artykułach polemicznych, umieszczanych w miesięczniku „Przyroda i polowanie“ *(Priroda i Ochota)*, przedstawia ona szczekacze jako najznakomitsze psy myśliwskie, które przy umiejętnym doborze i tresurze mogą zastąpić gończe, wyżły, spaniele i tropowce, słowem wszystkie psy myśliwskie, z wyjątkiem chartów. Rozpatrując jednak tę sprawę bezstronnie i ze stanowiska racyonalnego tegoczesnego myślistwa, przyjść musimy do wniosku, że szczekacze, bardzo jeszcze użyteczne, a nawet niezbędnie potrzebne przy dotychczasowych sposobach polowania w Rosyi północnej i Syberyi, nie mogą nigdy zastąpić ani psa gończego, ani wyżła, spaniela lub tropowca. Przeciwnie, wobec postępów myślistwa i w tamtych krajach będą one zmuszone ustępować miejsca owym wyspecyalizowanym rasom.

Zadaniem szczekaczy jest oszczekiwanie zwierząt i ptaków, szukających schronienia na drzewach, i danie tym sposobem możności myśliwemu podejścia i zabicia blokowanej przez psa, ofiary. Głównie więc szczekacze służą do polowania na wiewiórki (popielice), na sobole, kuny, kalanki, a w razie wypadkowego spotkania, na rysie i rosomaki; z ptaków na młode głuszce i jarząbki. Dla myśliwych, posiadających broń palną bardzo pierwotną i nie mających pojęcia o strzelaniu w biegu lub w lot, takie psy są niezbędne i nie mogą być zastąpione przez żadną udoskonaloną w naszem pojęciu rasę. Oprócz tego niektóre więcej śmiałe i odważne łajki bywają używane do wypędzania niedźwiedzi z barłogu a w razie niezabicia tego zwierza na miejscu, — do ścigania go i zatrzymywania.

Istnieje jeszcze jeden sposób użycia łajek, wychodzący jednak po za ramy myślistwa, a mogący być słusznie nazwanym barbarzyńską rzezią, a mianowicie ściganie i mordowanie łosi i sarn po śnieżnej skorupie, która może utrzymać psa, lecz łamie się pod ciężarem większych zwierząt: to też wspominam o tem tylko nawiasowo.

NA ROJSTACH LITEWSKICH.

(*Ciąg dalszy.*)

Od czasu do czasu zwracał jednak uwagę i na mnie, spoglądał mi w oczy i trącał nosem w rękę, co w jego psim języku znaczyło mniej więcej: „Widzisz, bawi mnie to wszystko i zajmuje bardzo, ale myślę i o tobie, bo kocham cię po dawnemu.“

Minęliśmy most żelazny na Wiśle, koła zaturkotały znów po bruku—i stanęliśmy na dworcu. Tu biednego „Black'a“ ciężkie czekały chwile, bo mimo gorących starań z mej strony, mimo szeleszczących argumentów, których nie szczędziłem, zamkniętym został do okratowanej psiej budy, które to miejsce etyka kolejowa wyznacza psom nawet opatrzonym kagańcami. Nie pomogło nic. Biedny „Black“, mimo energicznej obrony, znalazł się najniewinniej w świecie za kratą.

Ha! cóż robić, mój biedny psie! Nie ty pierwszy i nie ostatni—wyższych od ciebie to spotykało...

Swoją drogą żal mi go było niezmiernie i odszedłem od wagonu, żeby nie słyszeć jego żałośnego wycia, i nie widzieć żółtych okrągłych oczów, żałośnie we mnie patrzących, jak gdyby pytały, za co go ta krzywda spotyka?

Odwiedzałem go na każdej stacyi, gdzie czasu było dosyć, nosząc mu przysmaki i karesy, a w Białymstoku, gdzie jedliśmy obiad, dobra harmonia wróciła między nami w zupełności. Przekonał się i wyrozumował psią logiką, że podróż, choć za kratą, nie jest znów tak złą rzeczą, bo krzywdy nie robią, a jeść dają smacznie.

Za Białymstokiem kraj widocznie zmienił fizyognomię. Wsie stały się rzadsze, uboższe, częściej świecił piasek po polach, w wąskie zagony oranych; po łęgach stała woda na czarnem błocie. W lasach zjawiła się jodła, lasy były niskie, wilgotne, przechodzące miejscami w torfniaki, porosłe karłowatą brzozą i sośniną.

W takich lasach znaleść się miałem wkrótce; przyglądałem im się więc z podwójnem zajęciem. Cały ten świat, do którego niósł mnie trzęsący wagon, był dla mnie nowy i nieznany; natura, ludzie, ich obyczaje — wszystko to zaciekawiało mnie niezmiernie. Wielkich miast miałem już wogóle dosyć, więc przypatrzeć się chciałem ludziom, bliżej żyjącym z miejscową przyrodą, ludziom, noszącym osobny charakter ziemi, która ich żywi, niespłowiałym pod promieniami banalnego kosmopolityzmu i tak zwanej kultury, polegającej zazwyczaj na piciu koniaku, który nie widział Francyi, i na paleniu hawańskich cygar z Hamburga.

Za Grodnem wjechaliśmy we właściwą Litwę, a tymczasem słońce kończyło dzienną swą wędrówkę,

Do gonienia zwierząt szybkich i niechroniących się na drzewa, jak: łosi i sarn w zwyczajnych warunkach, a także wilków, lisów lub zajęcy, szczekacze zupełnie się nie nadają, gdyż ani ostrością węchu, ani wytrwałością w pościgu nie dorównywają nawet miernym gończym. Dla tego samego powodu i do łowów na niedźwiedzia dobre i cięte ogary zawsze będą lepsze, a przynajmniej równe najlepszym psom ostrouchym, a jeżeli jeszcze weźmiemy na uwagę, że te ostatnie ani nie mogą wystawiać ptactwa, ani nie są zdatne do aportowania, to przekonamy się, że właściwe pole działania dla łajek ogranicza się oszczekiwaniem zwierzyny na drzewach. Jestto przymiot bardzo cenny dla syberyjskich myśliwych-przemysłowców, lecz wcale nieprzydatny wobec sposobów polowania, przyjętych w Europie.

Kiedyś, przed wiekami i w naszej części świata używano w łowiectwie przeważnie psów ostrouchych i zapewne w podobny sposób, jak się obecnie praktykuje na Syberyi. Istnieje bardzo stara, bo pochodząca z VIII wieku, rycina, przedstawiająca dwóch saskich łuczników w towarzystwie psa niedużego wzrostu, ze stojącemi uszami. Rycina ta potwierdza powyższy pogląd. Z pojawieniem się jednak w Europie psów wisłouchych, posiadających daleko wybitniejsze zalety myśliwskie, dawne ostrouche musiały przed niemi stopniowo ustępować. Nie było to uganianiem się za nowością, gdyż przewaga psów wisłouchych wzrastała coraz bardziej i w końcu dawne szczekacze zostały zupełnie wyparte z łowiectwa i musiały ograniczyć się na rol psów podwórzowych i pasterskich. Nie ulega więc wątpliwości, że i dzisiejsze północne szczekacze nietylko nie są psami przyszłości, jak to usiłują wmówić w siebie i innych, niektórzy rosyjscy myśliwi, lecz przeciwnie, w miarę wzrostu kultury w nawpół dzikich okolicach północy i w miarę rozpowszechniania się tam ulepszonej broni palnej, będą musiały stopniowo ustępować innym, bardziej przystosowanym do nowoczesnego łowiectwa, rasom.

W końcu nadmienić muszę, że pomiędzy północnemi szczekaczami niema żadnych ras o ustalonych cechach, wskazujących na przeznaczenie danego psa do jakiegoś wyłącznego rodzaju polowania, to jest na niedźwiedzie, na mniejsze zwierzęta, chroniące się na drzewa, lub na ptaki. Kto chce mieć szczenięta po suce, dobrze atakującej niedźwiedzia, poszukuje do niej psa z odpowiedniemi przymiotami, bez względu na jego cechy zewnętrzne. Kto znów pragnie dochować się psów, dobrze oszczekujących wiewiórki i sobole, szuka rodziców, odznaczających się w tego rodzaju polowaniach, również nie dbając o wielkość, kształty, maść i t. p.

Tym więc sposobem, z zewnętrznego wyglądu niepodobna określić, do czego dany pies jest zdatny i czy wogóle jest zdatny do czegokolwiek. Bardzo też rzadko trafiają się psy, mogące służyć do wszelakiego, dostępnego dla szczekaczy, rodzaju polowania. Atakujące dobrze niedźwiedzia, zwykle źle oszczekują wiewiórki lub wcale na nie nie zwracają uwagi, i na odwrót.

Przy nabywaniu więc łajek, trzeba dobrze znać przymioty ich rodziców, a i to nie zawsze gwarantuje ich zalety.

August Sztolcman.

(D. c. n.)

POLOWANIE W DŻYLU.

(Dalszy ciąg).

Mój wioślarz, Nagi, perswadował mi, aby ładunki zachować na jutro do Dżyla, gdzie na tak zwanym „istiu“, to jest zbiorniku wody, przeznaczonym specyalnie do polewania w lecie plantacyi ryżu, można będzie bić na wybór kaczki zblizka. Usłuchałem go. Nagi objaśnił mi nazwy miejscowe przelatujących kaczek. Więc były tu: *kaszkał dak* (łyska), *jurdak* (krzyżówka), *karajurdak* (burka), *gir* (głowienka), *garep* (cyranka), *kawez* (płaskonos), bujl (*Fuligula rufina*), duża kaczka z pięknym rudym, nastroszonym czubem i wiele innych, których nazw tatarskich już nie pamiętam. Woda jeziora zdawała się wrzeć i kipieć od tego mrowia pluskającego się w niej ptactwa. My jednak nie zwracając na to uwagi, szybko zbliżaliśmy się do ujścia rzeczki. Już też i słońce zniżyło się do gór na zachodzie, gdy na drodze naszej, przy brzegu trzciny, otaczającej wkoło jezioro, zauważyłem rodzinę kur

---

i na krajobrazy, migające przez okna wagonu, zapadać zaczął wieczór, topiąc dalsze przedmioty w szarym półcieniu. W wagonie powietrze było straszne, bo jakaś Rosyanka z uszami zatkniętemi watą i z kwaśną twarzą i obawiała się „cugu“ i bólu zębów. Wyszedłem więc na platformę odetchnąć trochę świeższem powietrzem.

Pociąg pędził przez torfiaste, rozległe łąki, porośnięte lichą krzewiną; na tle ciemnej ściany boru świeciła wysoka, łysa góra piasku, ozłocona ostatniemi promieniami zachodu. Krajobraz to typowy litewski, który spotykałem tam na każdym niemal kroku. Powtarzają się na nim zawsze: bagno, piasek i las...

Po krótkim lipcowym zmroku ziemię przykryła noc piękna, jasna, pełna świeżości i zapachów, które w ciągu dnia słońce wywabiło z ziemi. Nasycić nie mogłem się chłodnem powietrzem, które pruł gwałtowny bieg pociągu. Tego balsamu, którego mi brakło od roku, miałem tu niemal za dużo. Tłoczył mi się do płuc, szumiał w uszach, przenikał moje włosy i ubranie—i były skarbu tego, pożądanego w wielkich miastach, całe morza i przestwory, których wypić nie potrafiłby wszyscy mieszczuchy razem zebrani.

Pociąg pędził jak zapamiętały, ciągnąc za sobą długi warkocz dymu, nasiany iskrami.

O dziesiątej z wieczora minęliśmy Wilno — i dobrze po 12-ej, głuchą już nocą, dojechaliśmy do małej stacyi, gdzie czekać na mnie miały konie. Jakoż zastałem małą, leciutką bryczkę na drewnianych osiach, zaprzężoną parą krępych żmudzinów o łbach kudłatych, jak żubry. „Black“ uszczęśliwiony swobodą, uspokoić się nie mógł w radości; skacząc i skomląc, pierwszy wskoczył na bryczkę. Ruszyliśmy— i od tej chwili rozpoczęła się moja odysea litewska, pełna wrażeń, nowych ludzi i zdarzeń.

* * *

Za stacyą zaraz wjechaliśmy w bór, ciągnący się dwiema wysokiemi ścianami z obu stron drogi, chłodny, wilgotny od rosy i pełen zapachu grzybów i żywicy. Było to pierwsze wrażenie, jakie odbiło się na mych mózgowych kliszach— najpierwsze i najmocniejsze—to, którego nie zapomina się nigdy. Odpowiadało ono doskonale obrazom, jakie snułem w wyobraźni, myśląc o Litwie. Piaszczysta droga prowadziła przez głuchy, ciemny las, pachnący puszczą i niedźwiedziami. Z radością myślałem, że oto jestem na tej Litwie, o której tyle słyszałem i czytałem. Wszystkie bajki i historye, słyszane od dzieciństwa, o litewskich borach, zwierzynie grubej i litewskich polowaniach, stanęły mi w pamięci. Serce biło mi żywo, kiedy myślałem, że jestem nakoniec w tej obiecanej krainie myśliwego, opiewanej przez poetów, i że nie dalej jak jutro deptać ją będę sam — myśliwy – ze strzelbą w ręku.

Jechaliśmy stępo po piaszczystej drodze, nad którą świecił jasny pas nieba nad wierzchołkami sosen.

sułtańskich (*Porphyrio*) z 5-iu sztuk, żerującą na liściach wodnego migdału. Piękne te szafirowe ptaki z czerwonemi dziobami, nie widziały nas w promieniach zachodzącego słońca i chodziły sobie spokojnie na swych długich czerwonych nogach, w dwóch grupach: bliżej na 50 kroków była para starych sułtanek, od których na pięć sążni w lewo i trochę naprzód chodziły trzy młode. Palę do starych i obie zostają na miejscu. Jednocześnie z drugiej grupy tylko dwie młode odlatują, trzecia zaś chlapie się na wodzie raniona. Osłupiałem! Jakim sposobem ta trzecia, nie będąca na linii strzału, sułtanka została trafiona? było dla mnie zagadką, którą jedynie bocznem odbiciem śrótu od wody wytłumaczyć można. Co prawda, nigdy dotąd nie przypuszczałem nawet możności takiego rykoszetu i będzie to dla mnie nauką, jak ostrożnie na wodę strzelać należy.

Mój Nagi pozbierał sułtanki i mieliśmy ruszyć w dalszą drogę, gdy wskazał mi przelatującego w poprzek jeziora, orła; leciał on od strony morza ku lasowi, widocznie na nocleg. Musiał być bardzo syty gdyż na nasz widok nie zmienił kierunku. Szybko włożyłem kulę do mojej dwunastki, na miejsce wystrzelonej gilzy i walę do orła naprzód śrótem—pudło, następnie kulą— jest. Zabieramy orła i dalej w drogę. Skręcamy w koryto wązkiej rzeczki, zarośniętej po brzegach trzciną. Już też i słońce zachodzi i zaczyna się przelot kaczek. Mniejsze i większe stada przelatują wciąż nad moją głową z piskiem, świstem, kwakaniem. Z początku automatycznie rzucam strzelbę w różne strony i biorę kaczki na cel, refleksya jedak nakazuje mi wstrzymać się od strzału, wobec trudności odszukania zabitych ptaków w gęstej trzcinie po ciemku. Następnie uzbrajam się w stoicyzm i tylko wzrokiem śledzą za każdem stadem.

Teraz też poruszyło się wszelkie żywe stworzenie, zamieszkujące trzciny i szuwary, już to szukając żeru, już spokojnego noclegu. Więc stękały sułtanki, wrzeszczały różnego gatunku czaple: białe, szare, czerwone i żółte, a także ślepowrony, beczały kszyki, gęgały dzikie gęsi, czarne i czerwone kazarki (*Bernicla*), lamentowały jakby niemowlęta, szakale, wyły wilki i fukały od czasu do czasu odyńce, poczuwszy zbliżanie się ludzi. Jedne tylko słonki, wbrew swemu zwyczajowi na północy, przelatywały cicho, jak kozodoje.

Siłą woli opanowawszy nerwowy pociąg do strzelania, a właściwie do machania strzelbą, słuchałem z rozkoszą tego koncertu natury. W tej chwili czułem się zupełnie szczęśliwy. Zapomniałem absolutnie o wszystkich biedach tego życia i cierpieniach: o przykrościach służby na granicach Persyi, o tęsknocie za krajem, przez ośm lat nurtujących serca moich najdroższych, nawet o czyhającej na myśliwego, pośród tych trzcin, malaryi...

Przykra woń zgniłego błota wyrwała mnie z kontemplacyi przyrody i wstrząsnęła niezdrowym dreszczem. Spostrzegłem, że gęsta mgła oparów podniosła się nad rzeczką i sąsiednieml moczarami. Otóż to, myślę sobie, malaryjka w dobrym gatunku. Nie daj Boże, gdy przyczepi się do człowieka, wyssie wszystkie siły, zniszczy organizm i spowoduje rozkład krwi, wodną puchlinę i śmierć przedwczesną. Chinina nie wiele pomaga na upartą lenkorańską febrę i jedynem lekarstwem jest zmiana klimatu. Przybyli tu z Królestwa rekruci słabszej kompleksyi, mrą, jak muchy, w lenkorańskim lazarecie. Dla uniknięcia tego smutnego losu, to jest śmierci na obcej ziemi, pociągnąłem dobry łyk wódki z manierki i podniosłem kołnierz od paltota, a także poleciłem wioślarzowi pośpieszyć się. Wkrótce też ujrzeliśmy światła w chatach Dżylu i niezadługo przybiliśmy do brzegu, gdzie już czekał Kostek z towarzyszami.

Zakwaterowaliśmy się w kurnej chałupie tatarskiej, postawionej z gliny i chrustu, krytej osoką. Chałupa składała się z dwóch izb, pozbawionych zupełnie sprzętów; jedną z nich zająłem z Kostkiem. Podłoga tej chaty była wyłożona dywanami; w jednym kącie leżała kupa tatarskich betów, nie bardzo pachnących, w drugim— posłanie dla mnie, ze świeżego siana, przykrytego burką; w trzecim były drzwi wchodowe, a w czwartym naprzeciw mego posłania rodzaj kominka, na którym palił się suty ogień.

Natychmiast pozbyłem się butów i zasiadłem na dywanie do przygotowanej już herbaty, którą zaprawiwszy cytryną i rumem, piłem z przyjemnością, ale i ze łzami od gryzącego dymu ogniska. Jednocześnie słuchałem raportu miejscowego strzelca, Kamila-Ogły. Donosił on, że dzików jest dużo (*czoch*) w Boladyńskim lasku o 100 sążni od naszej chaty, że kaczek jest niezliczone mnóstwo na Szagłoserskim istilu, o 300 sążni od chaty; że nakoniec główni moi strzelcy od

---

Noc była dziwnie gwiaździsta, urocza i spokojna. Czułem, że mi jest w tej ciszy nad wyraz dobrze, że odpoczywam po turkocie miasta, który został gdzieś bardzo daleko. Zlałem się w jedną całość z tą ciepłą nocą lipcową i z tym lasem, w którym zniknąłem, jak ziarnko piasku, bez myśli i bez woli.

Tego słodkiego uczucia nicości i ubezwładnienia, uczucia ogromnego spokoju, doznaje każdy człowiek, kiedy po długiem życiu sztucznem i abstrakcyjnem zetknie się naraz zbliska z wielkiemi dziełami przyrody. Uczucie, jakiego się wówczas doznaje, ma w sobie coś kojącego, pocieszającego i podobnem jest do uczucia zmęczonego dziecka, tulącego się do łona matki...

Sprawy, które wczoraj jeszcze pochłaniały mnie całego, wydawały mi się dzisiaj, wobec tego gwiaździstego nieba i tej cichej nocy litewskiej, małemi i śmiesznemi, a ludzie z ich codziennem, kłopotliwem życiem—istotami z innej planety.

Nie chciałem myśleć, że to „dziś“ jest tylko słodkim snem, a wczoraj i jutro rzeczywistością. „Black“, podobnie jak i ja, był pod urokiem chwili, bo spać nie chciał, tylko strzygł uszami, badając nosem zalatujące go z lasu, nieznane wonie.

W wyobraźni i ja widziałem las, przez który szła droga, napełniony zwierzyną, bo nie wystawiałem sobie litewskiego lasu bez wilków i niedźwiedzi. Byłbym się też nie zdziwił zbytecznie, gdyby z zarośli wynurzyła się naraz rosochata głowa łosia albo niedźwiedzia. Ale były to naturalnie tylko mrzonki, wysnute z wyobraźni, chciwej złudzeń. O łosiach i niedźwiedziach pamięć nawet zaginęła w tych stronach, od czasu jak przeprowadzono kolej, która pożarła okoliczne lasy. Sam bór, przez który jechałem, z puszczy widzianej w nocy, przemienił się w jasnych promieniach słońca w lichy sosnowy las, tęgo poszczerbiony siekierą.

Na razie jednak złudzenie było zupełne i pozostało mi to pierwsze wrażenie Litwy w postaci ciemnego boru, zalanego nocą, tajemniczego i głuchego, pełnego dzikich woni i uroku.

Wyjechaliśmy z lasu. Niebo bladło już świtem, nad rolą wisiał w powietrzu pierwszy skowronek, witający ranną pieśnią, budzący się dzień. Nad łąkami podnosiła się biała mgła, przesłaniając krzaki i drzewa zasłoną z gazy i zacierając kontury przedmiotów.

Droga przestała być piaszczystą i bryczka turkotała coraz częściej po groblach, ułożonych z okrąglaków na bagnach. Pola grodzone były płotami, zamkniętemi w poprzek drogi bramą. Stawaliśmy przed każdą; gruby Antoni złaził z kozła, mrucząc pod nosem na żmudę, i otwierał bramę, którą zostawiał otwartą, przejechawszy.

(*D. c. n.*)

dzików: Szir-Ali i Megrali, z psami jeszcze nie przybyli, lecz przyjdą jutro skoro świt. Rozkazawszy strażnikom, aby byli gotowi o wschodzie słońca, położyłem się spać na sianie. Kostek ulokował się na tatarskich betach.

Na jakie trzy godziny przed świtaniem obudziło mnie krzątanie się Kostka, rozpalającego ognisko. Okazało się, że prawie całą noc oka nie zmrużył, gdyż gryzło go robactwo, kryjące się w pierzynach. Błogosławiłem myślą swoje postanowienie nieużywania nigdy tatarskiej pościeli i odwróciwszy się tyłem do ognia, znowu usnąłem.

— Proszę pana, śniadanie gotowe—wołał Kostek.

Zerwałem się. Miły zapach kiełbasy z kapustą rozchodził się po izbie. Samowar buchał parą. Prędko umyłem się i zasiadłem, po turecku podwinąwszy nogi, do bigosu.

Podczas śniadania słońce podniosło się nad trzciny na wysokość dwóch chłopów. Nadeszli też z psami, oczekiwani strzelcy. Opowiadali, że po drodze spotkali dużą maciorę, zabili ją i zachowali od szakali w wodzie. Wiadomość ta podziałała na nas pobudzająco. Pozostawiwszy w chacie jednego strażnika, jako kucharza, na gospodarstwie, żywo chwyciliśmy za broń i wyruszyliśmy. Od miejsca polowania, Bołedyńskiego lasku, oddzielało nas kilkunastomorgowe, gołe pastwisko, po części mokre. Naprzód wybiegło siedm psów, wszystkie mniej lub więcej żółte i haniebnie chude tatarskie kundle. Za niemi w pierwszej linii szli trzej tatarscy strzelcy, w lekkich skórzanych łapciach. Następnie ja z „okiem“ Nagi; dalej trzej strażnicy, a z tyłu gajowy *(polesowszczyk)* z chłopcem i parą byków garbatych (pochodzących od mongolskich yaków) w jarzmie, do wyciągania dzików. Psy, po drodze, spędzały liczne stadka strepetów, czajek i szpaków, i zaraz wpadły do lasu. Poleciłem tatarskim strzelcom biedz za psami, sam zaś z Nagi i strażnikami postanowiłem przeciąć knieję i rozstawić się na przesmykach. Byki zostały przy drodze na brzegu lasu.

Bołedyński lasek, do którego wchodziliśmy, był mały, gdyż miał około 600 morgów przestrzeni, i odcięty od reszty lasów, z zachodu, szerokim gościńcem, po nad którym rozrzucone były chaty tatarskich wiosek. Ze wschodu i północy otaczały las ten, a właściwie leśny odpadek, zbiorniki wody do irygacyi ryżowych pól; z południa—rzeczka i wioska Dżyl. Drzewostan lasu składał się z bardzo starych, kolosalnych wymiarów, dębów kasztanolistnych, rozrzuconych rzadko i nierównomiernie po całej przestrzeni. Podszycie bardzo gęste, było z młodzieży dębowej, żelaźniakowej, olchowej *(Alnus cordifolia)*, z szyszki, dzikich grusz i jabłoni, powiązanych splotami winogradu, smilaksu, bluszczu i jerzyny. Grunt błotnisty poprzerzynany rowami i ścieżkami, wydeptanemi przez dziki. Figura lasu była wydłużona z południa ku północy, szerokość zaś nie przewyższała wiorsty.

(Dok. nast.)

P. Wasilewski.

Ze stosunków łowieckich we Fryzyi.

Grono rolników polskich zwiedzało w lipcu r. b. między innemi okolice Fryzyi podczas wycieczki w celach gospodarczych do Oldenburgii oraz Holandyi. Niektórzy z nich zdawali sprawę ze swej podróży w dziennikach warszawskich i poznańskich, zwracając uwagę prawie wyłącznie na stosunki rolnicze. Korzystając z dobrej sposobności, przytaczamy kilka szczegółów aktualnych również ze stosunków łowieckich we Fryzyi, podług opisów gazet niemieckich.

Winniśmy jeszcze dodać, że p. Antoni Marylski w „Kuryerze Warszawskim“ mimochodem wzmiankuje także o naturze gleby i łąkach w tamtych okolicach, co ma pośredni związek z myślistwem, a przeto powtarzamy słów tych kilka: „Natura—pisze p. M.—dała tym krajom glebę iście egipską, a ludzie potrafili uprościć sobie korzystanie obfite z darów przyrody.“ „Pola, podzielone na działki rowami, napełnionemi wodą, stanowią naturalne zagrody dla stad, pasących się na bujnych pastwiskach. W Oldenburgii oraz we Fryzyi spotykamy uprawę zbóż i bobiku, w Holandyi tylko pastwiska. Z wiosną w początkach maja, farmer wypędza odpowiednio posegregowane stada na poszczególne działki, zamyka wrotami przegony i zapomina nieraz o swoim dobytku, który sześć okrągłych miesięcy, przy względnie umiarkowanym klimacie, dniem i nocą, bez żadnych szop, pozostaje pod gołem niebem.“

„Zielone łąki, na których się pasą wspaniałe, czarno srokate, rzadko czerwone krowy, gromady baranów i owiec, stadka kur, połyskujących w trawach purpurą swoich grzebieni, czarne kosy, sine czaple, drzemiące nad rowami; maszty i żagle szare lub czarne, łodzi, płynących po wzniesionych wodach kanałów; strzeliste wiatraki o szerokich, lotnych skrzydłach, to wszystko razem wzięte, stwarza krajobraz odrębny, niepodobny do tego wszystkiego, co się u siebie, lub w innych krajach widziało“. Tyle p. Marylski.

Jeden zaś z myśliwych fryzyjskich, p. W. Br., podaje garść następnych szczegółów w piśmie łowieckiem.

Myśliwy ma prawdziwą rozkosz, „włócząc się“ po wspaniałych polach fryzyjskich. Pastwiska soczyste i bogate w rośliny, oraz łąki stanowią dla młodych zajączków znakomite żerowisko; pola zaś, gęsto zarośnięte koniczyną i żytem, są ulubionem schroniskiem kuropatw i bażantów. Bekasy i kszyki ożywiają niziny, a nad rzekami i bagniskami w sitowiu i turzycy wylęgają się dzikie kaczki.

Aczkolwiek w żuławach nadbrzeżnych Fryzyi stan zajęcy jest bardzo dobry, a w polach kuropatwy znajdują się w wielkiej ilości, to jednak przyznać należy, że w przeważnej części rewirów łowieckich za mało się dba o tępienie drapieżników. Przy każdej zagrodzie włościańskiej spotyka się stale kilka kotów, które często odbywają „przegląd“ rewiru. Natomiast nieznaczną jest ilość psów, uprawiających kłusownictwo. Wszędzie się też widzi sroki, wrony, kruki oraz bociany. Zamało zwraca się także uwagi na łasice i tchórze porą wiosenną, a co się tyczy jeża, tego tępiciela myszy, to nikt nie śmie go nawet dotknąć. Jaki to jednak zuchwały drapieżnik ten niewinny jeż, wyraźnie wskazuje następujące zdarzenie.

Podczas roboty żniwiarzy na polu owsianem, p. B. musiał zamknąć swe stado kaczek oswojonych. Wpędził je do stajni, ogrodzonej płotem żerdzianym. Wieczorem około godziny 10-ej dał się słyszeć wielki rozgwar śród zamkniętych kaczek. Po udaniu się na miejsce wypadku, p. B. oglądał stado, przeliczył je i nie zauważył nic szczególnego. Kaczki poruszały się, z wyjątkiem jednej młodej, która siedziała nieruchomo tuż przy parkanie. Zbliżywszy się do niej, przekonał się, że jest pogryziona do żywego ciała i prawie na wpół pożarta. Całe osierdzie wraz z wątróbką były widoczne.

Wyżeł wytropił w pobliżu winowajcę, którym był jeż. B. ubił go. Przypomniał też sobie, że w ostatnich czasach ginęły mu ciągle młode kaczki, w czem zawiniły przeważnie jeże. One również tępiły młode zajączki, kuropatwy, bażanty, oraz gniazda.

Jeża spotyka się tu wszędzie w gaikach, na miedzach polnych, pod kopcami. Nikt go nie tępi, ponieważ nie uważa się go za drapieżnika, mimo, że w rzeczywistości jeż należy do stanowczych szkodników.

Ciekawy wypadek zdarzył się tutaj jednemu z dzierżawców polowań. Na wiosnę hodowca ten wypuścił w pole wszystkie swe kury, jak to się tutaj stale praktykuje. Drewniana stajnia służyła im za schronisko. Obok niej kura miała swe gniazdo. Potem

jednak kuropatwa je zabrała. Miała w niem 5 jaj kurzych i 7 kuropatwich. Na Zielone Świątki kuropatwa wysiedziała 7 młodych własnych i 5 po kurze domowej.

Zajmujące szczegóły z życia danieli we Fryzyi opowiada jeden z hrabiów tamecznych. W lesie, obejmującym 1600 mórg, przebywa znaczna ilość danieli, przyczem stosunek samców do samic równa się 1:3. Lubo zatem daniele w czasie rui mają dostateczną ilość danielic, odgrywają się od końca października do połowy listopada zawzięte walki. W roku zeszłym był śród starszych danieli jeden, który miał tylko prawy róg łopatowaty, stracił bowiem lewy w czasie walki; został po nim zaledwie szczątek sękaty i bardzo długi wyrostek śnicżnej białości. Daniel ten okazał się potem wielce niebezpieczną sztuką. Obok niego uwijały się jeszcze dwa inne, między któremi był najsilniejszy z całego rewiru. Mimo to znaleziono go martwego w d. 2 listopada. Obdukcya stwierdziła, że został przebodzony głęboko do samego mózgu.

Po kilku dniach drugi daniel znalazł śmierć na tem samem miejscu, również od ubodzenia. Widocznem było, że morderstw tych dokonał ów byk o jednym rogu. Wreszcie 12 listopada robotnicy, pracujący w lesie, ujrzeli w pobliżu tego samego miejsca, daniela młodszego, który kręcił się bezustannie około jodły starej. Jeden z nich dał znać leśniczemu, a ten, schwyciwszy zwierza, skonstatował, że jest także przebodzony.

Wszystkie trzy daniele miały jednakowe skaleczenie: ukłucie nad świecami (oczami), które pochodziło od jednego zwierzęcia, ponieważ otwór rany był wszędzie ściśle jednakowych rozmiarów.

Na szczęście po kilku miesiącach udało się właścicielowi rewiru ubić niebezpiecznego daniela o jednym rogu śpiczastym.

Jerz.

Wścieklizna u lisów i borsuków w Galicyi.

Wścieklizna, grasująca od lat paru wśród lisów i borsuków w niektórych powiatach Galicyi, rozszerza się coraz bardziej, obejmując już dzisiaj powiaty: brzeżański, złoczowski, bobrecki, rohatyński i przemyślański. Do „Łowca“ lwowskiego wciąż nadchodzą wiadomości o wypadkach spotkania wściekłych lisów lub borsuków. I tak w N. 15 rzeczonego pisma p. Stanisław Gruff z Pomorzan opisuje, że nadzorca rewiru Rozbadów, Mustafaga, wróciwszy z obchodu po południu do domu, usłyszał silne ujadanie psów łańcuchowych. Gdy wybiegł na podwórze, spostrzegł, że to jeden z psów na łańcuchu gryzie się z lisem. Nie wiele myśląc, podbiegł z tyłu i schwyciwszy lisa za kitę, silnem uderzeniem o twardą ziemię, na miejscu zabił. Dopiero wtedy przyszło mu na myśl, że lis mógł być wściekły. Lis w samej rzeczy był strasznie wychudzony, miał oczy krwią nabiegłe i pysk, pianą pokryty; a głównie, że w biały dzień przyszedł do osady ludzkiej i tutaj z psem gryzł się na zabój.

P. Modest Douillet z Kurypowa donosi, że d. 19 czerwca borsuk wylazł z lasu w samo południe i dostawszy się na podwórze gajowego, zaczął szarpać za sukienkę znajdujące się tam dziecko. Na krzyk dziecka wypadła jego matka, a żona gajowego, i kijem odpędziła borsuka do lasu, lecz gdy podeszła do dziecka, aby je opatrzeć, borsuk wrócił i rzucił się na nią. Porwała wówczas sapę, na podwórzu leżącą, i nią borsuka zabiła.

Tenże p. Douillet mówi, że w d. 22 czerwca we wsi Wygoda około godz. 2-ej po południu wpadł lis na podwórze włościanina i rzucił się na psa, a gdy ten ratował się ucieczką, lis wpadł za nim do sieni, lecz tu go nadbiegli chłopi, pałkami ubili.

W d. 29 czerwca we wsi Kurypowie tuż około chałup na ogrodach, borsuk rzucił się w zamiarze pokąsania na kilku chłopaków, starszych już, przez ogród w pole przechodzących, lecz ci go kijami zabili. Działo się to około 3-ej po południu.

Dnia 30 czerwca w Ostrowie, w polu lis zastąpił drogę chłopu i dopiero po długiej chwili, straszony przez chłopa, który nic w ręku nie miał, pomału odszedł, a chłop do chałupy zawrócił.

Wreszcie słyszał też p. Douillet, lecz sprawdzić dokładnie nie mógł, że we wsi Wiktorów lis pokąsał babę. Co się stało z lisem i babą — nie wie.

UWAGI O KUROPATWACH.

Podług O. Grashey'a.

Sprawozdania o tegorocznym zwierzostanie kuropatwim wypadają zewsząd bardzo niepomyślnie. Smutne to bardzo, bo kuropatwa należy do owych nielicznych gatunków zwierzyny, na którą nie mamy powodu się skarżyć; nie czyni ona szkody w polu, przeciwnie tępi owady szkodliwe, pasorzyty i t. d. Pomijając kwestyę kulinarną, bo któż nie wie, jak smaczną jest kuropatwa, polowanie na nią bądź to z wyżłem, bądź to z naganką sprawia myśliwemu nadzwyczaj wiele urozmaiconej przyjemności. Lecz niestety koledzy myśliwi za mało dbają o hodowlę kuropatw, zostawiając Opatrzności tę troskę. Są wprawdzie rewiry, gdzie ustawiają się na zimę budki i zasłony chruściane, ale to są wyjątki.

Wobec tego zastanówmy się nad powodami, które się przyczyniają do corocznego zmniejszania się liczby kuropatw nietylko w Niemczech, lecz wogóle w całej Europie.

Już Dietrich z Hinkell skarży się w swoich dziełach, że kuropatw coraz to mniej. Nie wszystko, co pisze o tem, nadaje się do obecnych stosunków, ale nie zawadzi poruszyć cztery punkty, a mianowicie:

1) Zmiana stosunków rolniczych.
2) Wskutek tego wpływ na peryod lęgu.
3) Szkody, jakie czynią drapieżniki.
4) Stosunek płciowy.

Te cztery punkty są o tyle bardzo ważne, że ubytek, jaki się zdarza w zwierzostanie kuropatwim, następuje rok rocznie w porze od kwietnia do sierpnia. Tutaj jest *punctum saliens*, tutaj szukajmy przyczyn.

Co do punktu pierwszego, to rolnictwo ciągle postępuje. Ciągłe powiększanie się ludności w Europie wymaga wyzyskania każdej piędzi roli, by jaknajwiększy osiągnąć dochód. Ztąd inny płodozmian, mniej się sieje zboża w niektórych okolicach, a więcej paszy dla bydła lub owiec. Lasy powycinano, jako i krzaki w polach, gdzie tak lubią się gnieździć kuropatwy.

Wskutek tego kuropatwa jest obecnie zmuszona słać sobie gniazdo w polu koniczynnem lub na łąkach, bo zboża w owym czasie jeszcze o tyle nie wybujały. Wiemy z doświadczenia, że właśnie te schroniska są zgubne dla kuropatw, bo cięcie koniczyny i łąk przypada w okresie lęgu.

Przodkowie nasi polecali w swych dziełach myśliwskich, by w sezonie parzenia się kuropatw wypłoszyć je z wyżłem z pól koniczynnych i łąk, aby tam się nie gnieździły, a to z powyższych powodów.

Dzisiaj inaczej stoi ta sprawa, bo gdzież się ma kuropatwa schronić, gdy ni lasu ni krzaków wokoło? Skutek jest taki, że procent zniszczonych przez ko-

siarzy gniazd, jest o wiele większy, niż dawniej. Przypuśćmy np., że zniszczy się w ten sposób 4—5 gniazd, to już wynosi około 100 kuropatw.

Następnie deszcze, grady, drugie tyle gniazd marnują, bo ptastwo w polu nie ma dostatecznej ochrony. Bardziej daje się to uczuć na mocnych gruntach; na słabych, przepuszczalnych, zmiana aury mniej szkodzi. To też nieraz się zdarza, że w rewirach o glebie mocnej, gdzie było więcej stad, niż w sąsiednim o słabej, roku następnego jest mniej, niż tutaj.

Im więcej gołych miejsc w rewirach, tem więcej zwierzostan kuropatwi jest narażony na napady drapieżników i na zmianę aury. W rewirach, gdzie polowanie i hodowlę traktuje się prawidłowo, gdzie się systematycznie tępi drapieżniki, nie daje się to tak we znaki, ale takich gospodarstw łowieckich, niestety, jest jeszcze mało, pomimo nawoływań pism fachowych.

Przedewszystkiem należy tępić tchórze, kuny, jeże i łasice, oraz koty i psy, włóczące się po polach, nie mówiąc już o jastrzębiach i innych drapieżnych ptakach, zwłaszcza wronach, które mają taki zmysł spostrzegawczy, że nic nie ujdzie ich czujności. Zostawi np. ktoś przy żęciu koniczyny gniazdo kuropatwie nietknięte, i zakryte umyślnie w tym celu zostawionym kawałkiem koniczyny, wrona na pewno je wypatrzy, tak samo bocian i sroka.

Postępu kultury rolniczej i stosunków, stąd wypływających dla zwierzostanu kuropatw, zmienić nie można, ale złagodzić jesteśmy w stanie przez racyonalną hodowlę.

Co do stosunku płciowego, to faktem jest, że zawsze wylęga się więcej kogutów, niż kur. To też starać się trzeba odstrzeliwać jaknajwięcej starych kogutów.

ZE WSPOMNIEŃ STAREGO MYŚLIWEGO.

Polowanie na wilki z prosięciem.

Proszony przez znajomego o zrobienie wyciągów gospodarskich z kilku folwarków dóbr międzyrzeckich, udałem się w objazd. W ostatnim z tych folwarków, Ostrówki, zastałem starego ekonoma, conajmniej lat 70-iu, sympatycznej powierzchowności staruszka. Gdy tenże spostrzegł na moich sankach wyżła i dubeltówkę, uprzejmie zapytał:

— Pan dobrodziej zapewne myśliwy?

— Tak jest, a pan?

— Ja byłem dawniej, ale dziś już stary grat!

Że lubiłem zawsze rozmawiać ze starymi myśliwymi, bo od nich co ciekawego i nauczającego usłyszeć spodziewałem się, chętnie więc gawędkę zacząłem opowiadaniem, że podczas dzisiejszej podróży 11 lisów widziałem i jednego z nich zabiłem, że jeżdżąc nieraz w odległe strony kraju, nigdy mi się nie zdarzyło spotkać na strzał z wilkiem.

Na to odrzekł staruszek (odtąd jego słowami opowiadać będę):

— Co to teraz, proszę pana! wiele się rzeczy zmieniło: gdzie były knieje, pełne zwierza rozlicznego, gdzie były nieprzebyte gąszcze, w których mógł się zwierz trzymać bezpiecznie, dziś albo pola, łąki, albo i wsie pobudowano. Musiał się wilk wynieść gdzieś w odległe strony. Ot np. i w tej okolicy dużo się zmieniło, ja na tym folwarku jestem ekonomem przeszło lat 40. Jak pan jechał od Łozek, po lewej ręce są błota, na których jednego krzaczka nie widać. Dawniej od Łozek do samych Ostrówek był tu las olszowy, podszyty łozą, trzciną, chmielem, i taki gąszcz, taka trepeza, że jak to mówią, psa tam ciężko było nagnać. To też wilki zawsze się tu trzymały, bo i schronisko miały, i kilka okolicznych wiosek niemałe im dawały pożytki.

Zmówiło się więc nas sześciu ekonomów i pisarzów, żeby zapolować z prosięciem. Miejsce, zdawało się nam, doskonale wybrane — pomiędzy Łozkami a Ostrówkami wiorst 4, gościniec prosty, bez żadnych wybojów, kamieni, równina, jak na stole. Czekaliśmy tylko na pełnią księżyca i noc pogodną. Ja tymczasem wyszykowałem doskonałe sanie z głębokiem siedzeniem, aby na przypadek wilk nie mógł za bok uchwycić człowieka. Zaprząg miałem nowy, kobyłę do chomonta doskonałą i tęgiego od niej 4-roletniego ogierka na przyprzążkę.

Przyszła nareszcie naznaczona pora, zjechali się do mnie koledzy. Wszyscyśmy byli w doskonałych humorach, pewni, że kilka wilków padnie, a wszystko pójdzie, jak z płatka, bo czyż to młodzi mogą myśleć inaczej? A jak nam poszło, to zaraz opowiem.

Zaczęliśmy się zbierać do jazdy. Żona moja jakoś się bała, zaczęła nam odradzać, ale my śmieliśmy się z jej strachu. Sześciu nas, sześć dubeltówek, ktoby się tam bał, przecież nas nie zjedzą, wiele ich to musiałoby być, żeby nam dały radę! A jeden z nas, ułożywszy dobrze minę, powiada:

— Ja się boję tylko jednej rzeczy!

Wszyscyśmy na niego spojrzeli.

— Czegóż się boisz?

— Boję się, że może nam wypadnie duży kawał iść piechotą, bo sześć wilków będzie jechało na saniach.

Wszyscy w śmiech i tak żartując, weseli, wsiedliśmy na sanie.

Zaledwie wyjechaliśmy za wieś, zaczęliśmy zaraz dusić prosiaka. Darł się też jak opętany, ale dojechaliśmy do Łozek, a wilków nie było. Zawróciliśmy zatem, lecz gdy znowu nic nie było, gdyśmy przyjechali pod Ostrówki, więc niektórzy mówią, żeby jechać do domu, bo widać dziś niema tu wilków. Ale inni radzą, żeby jeszcze raz pojechać do Łozek, więc pojechaliśmy, lecz i tym razem nic było nic. Ha! trudno, widać niema wilków. Pospuszczaliśmy nosy na kwintę, prosiaczysko ochrypło z kwiku, ale je tam jeszcze męczą. Tym sposobem ujechaliśmy z połowę drogi, aż tu naraz któryś się odzywa:

— A to co? Czy to krzaczki?

Wtedy spojrzałem w tę stronę i mówię:

— Oj nie krzaczki to, krzaczki są blizko wsi, przecież ja to znam dobrze.

Podjeżdżamy bliżej — wilki. O! la Boga, alež to kupa! Czuję, że mi włosy stają na głowie, taki lęk mnie ogarnął. Spodziewaliśmy się 5 — 6, najwyżej 7, a tu gromada, powiadam panu jak owiec.

— Wieleż ich mogło być?— pytam.

— Albożja wiem, człowiek w takim strachu nie myślał o rachowaniu, może 15, może 20, albož ja wiem; stały przy drodze, nie dalej jak może o kroków 30. Gdyśmy się z niemi zrównali, przystanęliśmy i wypaliliśmy na komendę. Koniska się nie postrachały, bo one zwyczajne były strzału, ale pomiędzy wilkami zrobił się ogromny rwetes, zdało się nam, że lecą na nas, więc niewiele myśląc, rypnęliśmy z kopyta, co koń wyskoczy, później trochę pomiarkowaliśmy się, żeśmy się zanadto i niepotrzebnie przestraszyli — ale już przepadło, bo wilki niezadługo nas dognały—jedne pędziły tuż, tuż przy saniach, niektóre z nich z pozadzieranemi ogonami, jak dzidy*), a wszystkie z powykręcanemi ku nam mordami, inne zabiegały koniom z przodu, ale najwięcej tych *bestyów* czepiało się biednego ogierka, bo do niego przystęp miały najłatwiejszy. Siedziałem właśnie po tej samej stronie i widziałem, że byle się tylko wilk zablizko do niego przysu-

*) Nie zdawało mi się, żeby wilk mógł pytę do góry podnosić; dopiero później, gdy przez dwa lata miałem chowanego wilka, widziałem nieraz, że gdy pies obcy pokazał się na podwórzu, i poszczułem go psami, to wilk natychmiast podnosił pytę prostopadle w górę, miotał się i skakał, że z trudnością mogłem odpiąć obrożę, żeby go spuścić z łańcucha.

nął, to walił zadem, a walić musiał, nieboraczysko, raz za razem. O Chryste! nie wyobrazi pan sobie tego strachu, jaki mnie przejmował, cały byłem ścierpnięty, że nie oszalałem wtenczas, to chyba cud Boży...

Do wsi było ze dwie wiorsty, a tu ciągle jakby ciężki miecz wisiał nad głową człowieka; lada potknięcie się konia, lada pęknięcie zaprzęgu, a co już najprędzej być mogło przy takim pędzie, to rozwiązanie się chomonta — to śmierć — i jaka śmierć sroga, bez żadnej nadziei ratunku! Co który nabił strzelbę, to wypalił, ale chyba zawsze bez skutku, nie odstraszało też to wilków zapełnie. Spodziewałem się, że jak wjedziemy do wsi, to nas może opuszczą, ale gdzietam, wszystko jedno, nawet strasznicj się jeszcze zrobiło, bo co który pies wypadł z pod chałupy na drogę, to tylko miauknął i już go niema. O, Boże! może to i nam niezadługo przyjdzie tak piszczeć w zębach tych bestyj!

We wsi było ciemno, wszyscy już spali, równie jak i na probostwie. Minęliśmy wieś, kościół i zbliżaliśmy się do folwarku. Co się wtenczas ze mną działo, to ja tego opowiedzieć panu nie potrafię, bo byłem najpewniejszy, że to już moja ostatnia godzina nadchodzi, jeżeli wilki wpadną na podwórze; a dlaczegóżby wpaść nie miały, skoro nie bały się ścigać nas przez całą wieś, to już dla nas niema żadnego ratunku, wszystkich nas te bestye rozerwą, bo któżby nam mógł dać pomoc, choćby najmniejszą?

W domu nie spała, czekając na nas, moja kobieta i dwie służące, w oborze stary pastuch, w stajni chłopak, ale cóż to wszystko znaczyło! i oni poginąć musieliby przy takiem rozwścieczeniu wilków. Ale Bóg łaskaw nie chciał naszej zguby, wilczyska nie weszły za nami. Czy one się bały przechodzić przez bramę, czy może prędzej zlękły się światła w oknach, dość, że nie poszły i prawdziwie cudemeśmy tylko ocaleli.

— Póki żyw będę ta straszna noc, ta trwoga okropna nie wyjdzie mi z pamięci. Dziś jeszcze, gdy to panu opowiadam, skóra drży na mnie. Ale co ja potem miałem słuchać od żony:

— A ty waryacie, czy ty pomyślałeś, co jabym sobie biedna dała za radę z małem dzieckiem w razie nieszczęścia na ciebie.

Miała chyba słuszność poczciwa kobieta, Panie, świeć nad jej duszą.

— No, i wieleżeście wilków zabili?

— Nazajutrz rano pojechali we czterech, przywieźli 3 wilki, ale chyba to nie my je ubili, tylko mój biedny ogierek, bo był kuty na wszystkie cztery nogi. Ale wie pan, czwartego dnia zdechł biedny konisko, widać z wysilenia.

Pożegnałem staruszka, a w drodze do domu rozważałem całą tę awanturę. Przyszły mi na myśl słyszane w dzieciństwie, słowa dziadka mego, wielkiego myśliwego, który nietylko na wilki, ale i na niedźwiedzie polował, że na polowanie z prosięciem nigdy dobrych młodych koni brać nie trzeba, tylko stare, jaknajgorsze wywłoki. Nie wiedziałem naturalnie, dla czego to, ale dziś rozumiem, że dlatego, aby wprost uniemożliwić forsowną ucieczkę, wilk, tak jak i pies, goni zawzięcie uciekających, a rachuje się zawsze z odwagą człowieka. Tak i w tym wypadku, gdyby ci strzelcy byli stali, albo przynajmniej jechali wolniuteńko, a strzelali celnie, nie byłyby ich wilki goniły z pewnością. Że zaś koń i pies z natury swej nie boją się wilka, jeżeli poprzednio nie były przez niego nastraszone, kilka na to przedstawię dowodów.

Ojciec mój, jadąc do dnia, mijał się z wilkiem na grobli tak blizko, że go batem z kozła dostać można było, konie się jednak nie zlękły, choć były młode i dobre. Jeden koń tylko chrapnął.

Szwagrowi memu chłopi napędzili dwa wilki, tak, że może o 10 kroków przeszły przed końmi, nie spłoszywszy ich.

Znajomy mi ksiądz, myśliwy, człowiek niemłody, wracając w nocy z sąsiedztwa, jednokonnemi saneczkami z woźnicą, małym chłopaczkiem, spotkał na drodze 3 wilki, idące w tę samą stronę. Zaczął najeżdżać na nie, wskutek czego zeszły z drogi, czas pewien szły niedaleko obok sanek, później znów z tyłu weszły na drogę. Gdyby się koń był przestraszył, chłopczyna nie dałby mu rady, i byłaby katastrofa. Ksiądz nie kazał przyśpieszać jazdy, aż dopiero wtenczas gdy był niedaleko probostwa, wpadł do domu, porwał dubeltówkę i z zaułka między budynkami zabił wilka.

Co zaś do psów, to przypominam, że mając przez dwa lata chowanego wilka, widziałem, że żył z psami w najlepszej komitywie owszem, nawet przy kościach nieraz go psy wytarmosiły.

Dwa następne przykłady z mojemi wyżłami dadzą chyba dowód dostateczny, że pies z natury swojej nie boi się wilka. Będąc na polowaniu, spostrzegłem, że pies zaczyna się ściągać. Idę za nim i gdym wyszedł na wzgórek, widzę dwa wilki, stojące o 100 kroków. Wyżeł, chociaż je już zobaczył, szedł w dalszym ciągu, jakby do stada kuropatw; musiałem go odwołać.

Następny wypadek z innym wyżłem jeszcze dosadniejszy. Dano mi znać, że pastuchy gonią wilka przez pole. Porwawszy strzelbę, biegłem chyłkiem, kryjąc się poza kartoflami; nie wiedziałem, że wyżeł poszedł za mną. Gdym przeciął drogę wilkowi, widzę, że on idzie rządkiem kartoflanym prosto do mnie, przyczaiłem się—co i wyżeł również uczynił, podniosłem się wówczas dopiero, gdym łeb jego zobaczył. Od końca luf mogło być najwyżej dwa łokcie, palnąłem w gardło (drobnym śrótem), poczem wilk dał ogromnego susa w górę, pies jednocześnie rzucił się ku niemu i właśnie gdy miał spaść na ziemię, pies znalazł się w tem miejscu, wilk zatem spadł na psa— pies przewrócił się na bok i wilk na psie również. Możnaby więc śmiało wybaczyć temu psu, gdyby potem bał się wilka, a jednak gdy wilk zerwawszy się dał znów susa w górę, ja strzeliłem i chybiłem, a on zaczął uciekać, pies gonił go tuż, tuż może o pół łokcia, wprawdzie bał się go dotknąć, bo był to pies tchórzowaty, nie dotknąłby również psa. W każdym razie widać, że panicznego strachu nie doznawał.

K. Dębicki.

Luźne wiadomości o sarnach.

Sarny przebywają najchętniej w lasach liściastych i najwięcej w środku lasu i niżej położonych rewirach. Obszerne doliny i średnio górzyste położenie przekładają nad gęstą, zwartą knieję, jakkolwiek i w tej się trzymają i wyrastają poczęści silniej i są wyższego wzrostu. Jako niezbędny warunek życia pożądane są świeże źródła i dobra czysta woda, i dlatego okolice lesiste, obfitujące w dużą ilość zdrowych łąk, niezakwaszonych z poblizkiemi, uprawnemi polami cieszą się lepszym zwerzostanem, aniżeli miejscowości z obszernym, zwartym i ciemnym lasem. Dłuższy, a raczej stały pobyt sarn w kniei zależy od spokoju i ciszy, i przeto w rewirach takich zabronić należy rąbania drzewa, zbierania grzybów i jagód, jako i pasania bydła.

Ładnego zwierzostanu można się dochować nawet w rewirach, w których kiedyś sarny były rzadkością, o ile hodowla prawidłowo będzie prowadzoną, odstrzeliwaniem w miarę jałowych lub zbytnich sztuk i tępieniem szkodników. Od połowy maja do czerwca zmieniają sarny ubarwienie i w połowie lipca zaczyna się ruja i trwa do drugiej połowy sierpnia. Ciąża starszych kóz trwa naturalnie do 40 tygodni. W grudniu ponawia się u niektórych sztuk ruja, tak zwany płód odrodny, który dawniej uważano za pierwotny, a omyłkowe zapatrywanie powstało z tej przyczyny, że jajko, zapłodnione przez kozła w lipcu lub sierpniu, nie

rozwija się i dopiero za powtórną rują zaczyna naturalne przeobrażenie odbywać.

W maju lub na początku czerwca sarny wyprowadzają młode, zwykle dwie sztuki, rzadko więcej lub mniej, z ubarwieniem centkowanem, które już w kilka godzin po ulężeniu chodzą za matką. U młodych koziołków często już w pierwszym roku wyrasta róża z delikatnem wypukleniem rożków, jakkolwiek wielu myśliwych kwestyonuje wyrastanie parostków w pierwszym roku. W drugim roku dostaje koziołek parę śpiczastych rożków i ztąd mają kozły w drugim roku nazwę śpiczaków. W następnych latach wyrastają rogi już w kształcie widelek i stąd nazywają się widlaki, następnie coraz większe, aż w końcu rogi z odnogami dochodzą do formacyi szóstaków. Na silniejsze wyrośnięcie rogów i piękne operlenie składają się różne warunki, zależne od miejscowości, pożywienia i klimatu. Z końcem listopada i później kozły zrzucają rogi, lecz po niedługim czasie wyrastają im nowe, które już z końcem marca zaczynają wycierać.

Jeżeli kozioł znajduje się w rudlu, to nie z galanteryi, lecz wprost z ostrożności biegnie w pośrodku stada, i najczęściej przewodniczką jest stara koza. W rudel łączą się sarny na zimę; przeważnie zaś rodzinami chodzą. Pojedyńcze kozły to starsi, wzgardzeni zalotnicy, melancholijnie błąkający się. Przed ułożeniem się na spoczynek sarny wygrzebują sobie przedniemi racicami legowisko gładko i o ile niepłoszone, korzystają z niego częściej.

Ubarwienie sarn nie jest jednakowe, bywają całkiem ciemne, płowe, szaro-brunatne, białe, a nawet centkowane.

W naszym klimacie do prześladowców sarn zaliczyć należy: lisy, psy, zdziczałe koty, niektóre gatunki łasic i silne ptaki drapieżne. Dużo też sarn ginie wskutek chorób epidemicznych. Często zapadają sarny na biegunkę zwłaszcza po ostrej zimie, kiedy pożywienie jest trudniejsze, a z nastaniem uczciwej wiosny chciwie jedzą soczyste trawy i wodne rośliny. Choroby tej nabawiają się sarny i przy prawidłowem odżywianiu się, skoro przy silnych mrozach strumyki zamarzną, i nie dostarcza się im wody.

TEGOROCZNY ZWIERZOSTAN.

W dalszym ciągu odbieramy następujące listy o stanie zwierzyny w roku bieżącym:

Z gub. Warszawskiej.

Na terytoryum gub. warszawskiej klęska tegoroczna nie jednakowo dała się we znaki w różnych okolicach. Tak np. na maj. Brwinów p. Lilpopa, cały przychówek i jaja wyginęły prawie doszczętnie. To samo komunikuje nam p. Szwede, dzierżawiący polowanie w Nieborowie pod Łowiczem. Na Bolimowie (pod Skierniewicami) klęska jest wielka, lecz nie ostateczna. Na majątku willanowskim, według świadectwa p. Ordy, stan kuropatw jest mierny, nie gorszy jednak od zeszłorocznego.

Z gub. Radomskiej.

Ostrowiec.

Chłodna i dżdżysta wiosna opóźniła lęgi kuropatw, a późniejsze nieprzerwane prawie, słoty zniszczyły bardzo wiele gniazd i młodych, w bujnych zbożach i trawach. Spustoszenia dokonał wylew na całej nizinie rzeki Kamiennej, począwszy od Skarżyska aż do Wisły — do spółki z olbrzymim gradem, spadłym w parę dni po wylewie. Zalane i gradem pozabijane pisklęta i zające, znajdują robotnicy bardzo często, pozostałość zaś nie rokuje wielkich nadziei na tegoczesny sezon, bo ocalałe stadka kuropatw dotąd niewyrośnięte i nieliczne, a zające i sarny trapi motylica. O ile zdołałem zoryentować się w rozmiarach tegorocznej klęski w tutejszym zwierzostanie, na terytoryum majątku Ostrowieckiego, wypadnie zamknąć polowanie na kuropatwy w bieżącym sezonie, wobec tego, że tam, gdzie biło się w sezonie po paręset sztuk, dzisiaj spotyka się pojedyncze stadko 5 do 8 sztuk niewyrośniętych piskląt.

K. Satkowski.

Polowanie z Sokołem w stepach rosyjskich.

Znany nemrod niemiecki, p. v. Hohenberg, w następujący sposób opisuje polowania na zwierzynę z sokołami i orłami.

Oto co pisze p. von Hohenberg:

Podróżowałem wiele po Ameryce, Azyi i Afryce, ale najmilsze są dla mnie wspomnienia myśliwskie z kraju Kirgizów i Baszkirów.

W stepach Kirgizów i Baszkirów łowy odbywają się przeważnie z sokołem. Rodzaj tego polowania uzyskał taką wziętość, że w Moskwie i Petersburgu utworzył się klub „Miłośników polowania z sokołami“. Członkowie klubu sprowadzają myśliwych z kraju kirgizów z sokołami do swych rewirów.

Kirgizi i Baszkiry układają kilka gatunków ptaków drapieżnych do polowania, a mianowicie „berkuta“ (*Aquila nobilis*), orła cesarskiego (*Aquila imperialis*) i orła wschodniego (*Aquila Glitschii*), polując z niemi na antylopy, wilki, lisy i dropie.

Dzięki protekcyi przyjaciół, zwiedziłem wielkie obszary tych krajów; przyjmowano mnie wszędzie bardzo życzliwie.

Konie kirgiskie są nadzwyczaj wytrzymałe, o wysokich nogach, galopują kilka godzin bez zmęczenia, nie nużąc siebie i jeźdźca, bo chody ich są nadzwyczaj lekkie.

Berkuty gnieżdżą się w krajach Kirgizów i Baszkirów bardzo licznie; przeważnie samice bywają używane do polowania. Orzeł biały (*Haliaetus leucoryphus*) jest bardzo pożądany, ale bardzo drogi. Kosztuje on sto rubli, a tresowany na wilki 150 — 200 rb.

Krajowcy polują w zimie z sokołami na lisy, co im przynosi znaczny dochód.

Orla „berkuta“ nie łatwo oswoić, ale krajowcy umieją się z nim obejść i wytresować gruntownie. Głodzenie odgrywa wielką rolę w oswajaniu tego ptaka; po kilku miesiącach bierze go się na linkę i puszcza na jakąkolwiek wypchaną zwierzynę.

Ćwiczenia ptaka odbywają się konno, a w nagrodę za posłuszeństwo daje mu Kirgiz kawałek surowego mięsa końskiego, które zawsze jest przytroczone do siodła, gdy myśliwy się na łowy udaje. Orzeł siedzi na kuli siodła, okapturzony; skoro się zwierz, wilk lub lis, ukaże, myśliwy szybko zdejmuje kaptur; ptak, zoczywszy zwierza, wznosi się w górę i rzuca na niego z ogromnym impetem, wpijając swe potężne pazury w kark i grzbiet zwierzęcia, tak, że ofiara—lis, wilk lub antylopa—w krótkim czasie osłabnie i myśliwi ją dobijają.

Wilk, czując szpony orła w karku, przewraca się na grzbiet, by ptaka zadusić, ale myśliwy w takim razie silnem uderzeniem w nos, zadaje mu cios śmiertelny.

Zamożni Kirgizi urządzają polowania dla zagranicznych myśliwych, przyjmując ich nadzwyczaj gościnnie. Są to polowania przyjemne i pełne wrażeń.

Psy w Ameryce przed Kolumbem.

Znany przyrodnik niemiecki, p. Br., zamieszcza interesujący artykuł pod powyższym tytułem w jednem ze specyalnych pism niemieckich. Ze względu na ciekawe szczegóły, w tym artykule zawarte, podajemy go czytelnikom naszym *in extenso*.

Pies był u Indyan północnej Ameryki przed przybyciem Europejczyków jedynem zwierzęciem domowem. Gomara wprawdzie twierdzi, że Indyanie oswajali bizona; przypuszczenie to zdaje się być bezpodstawne, bo pionierzy europejscy nie znaleźli ani śladu jakiegokolwiek szczepu pasterskiego między Indyanami. Spotykano wprawdzie tu oswojone niedźwiedzie, orły i t. d., ale tych przecież nie można zaliczyć do zwierząt domowych.

Tyle wiadomo, że wszystkie psy owego czasu, z wyjątkiem psów Eskimosów, o których poniżej, tworzyły dwie rasy, mniejszą i większą: obiedwie miały cechy psów dzikich: spiczaste, stojące uszy i niemożność wydania głosu. Co do wydania głosu, szczekania, to znanem jest, że u ludów, które mało się o psa troszczą, np. u Czukczów i u niektórych szczepów Afryki, psy nie szczekają.

Większa rasa psów Indyan miała wielkie podobieństwo do wilków (*Canis lupus variabilis occidentalis*), tak, że Richardson nieraz stado wilków brał za psy, towarzyszące Indyanom, a wycie ich jest tak podobne, że i Indyanin nieraz się pomyli.

Rasa mniejsza znowu bardzo jest zbliżona do wilka preryi (żujot) (*Canis latrans*); to też nie ulega wątpliwości, że obydwa gatunki od owych wilków pochodzą. Postać zewnętrzna obydwóch ras była ta sama. Głowa długa z spiczastemi, stojącemi uszami, szerść ostra, kolor włosu ciemno-żółty w białe i czarne łaty lub ciemno-szary w czarne centki, wreszcie zupełnie żółty. Ogon nosiły spuszczony, gdy szły spokojnie, w szybkim biegu—poziomo, zakrzywiony na końcu.

Co do pożytku, jaki Indyanie z psa mieli, to w pierwszej linii służył on jako zwierzę juczne u Indyan stepu; dźwigać on musiał najrozmaitsze rzeczy, jak namioty i t. d., a szerść jego służyła do wycierania brudnych palców po jedzeniu. Po śmierci garbowano skórę jego i używano jako kołdrę. Jednakże najbardziej cenili Indyanie jego mięso; pieczeń z psa przenosili nad wszelką zwierzynę. Europejczyk nawet, pokonawszy wstręt, ze smakiem je jadł; ma mieć podobny smak do mięsa baraniego i wieprzowego.

Psa, jako cenny dobytek, ofiarowywano nieraz „wielkiemu Duchowi". Psy owe nie cierpiały Europejczyków, jak *vice versa* psy Europejskie Indyan. Polega to na transpiracyi potu, który jest tak u obydwóch ras charakterystyczny, że człowiek go odróżni, a cóż dopiero pies! Przejdźmy teraz do psa Eskimosów. Rozróżniano tutaj dwa gatunki, jeden zupełnie podobny do większej rasy psów Indyan, drugi natomiast odznaczał się szerszą głową, krótszym grzbietem, dłuższą szerścią i ogonem zakręconym.

Kolor szerści był przeważnie biały, ale zdarzał się także zupełnie czarny i centkowany.

Mamy tu więc do czynienia z dwiema odrębnemi rasami; jedna – to wielki pies Indyan, druga—to właściwy pies Eskimosów, którego z Europy przez cieśninę Behringa z sobą przyprowadzili. Oczywiście z biegiem czasu psy Indyan skrzyżowały się z psami Eskimosów, nadając im swoje piętno charakterystyczne.

Eskimosi europejscy różnią się od amerykańskich głównie tem, że mają reny, jako zwierzęta domowe, podczas gdy amerykańscy tylko psa. Więc najwidoczniej emigracya do Ameryki nastąpiła w czasach, gdy jeszcze ren w Europie nie był oswojony, bo niewątpliwie byliby go zabrali z sobą do nowych siedzib. Według Markhama, Eskimosi w 12-tym i 13-tym wieku przybyli do Ameryki.

Nordenskjold miał sposobność, zimując na wschód zatoki Koliczyn, obserwować psy Czukczów i twierdzi, że rasa ta jest identyczną z rasą Eskimosów. Również Middendorf znalazł na Alasce podobne psy, jak u Samojedów, Czukczów, co dowodzi, że pies Eskimosów z zachodu przybył do Ameryki. Eskimosi używają ich do polowania i zaprzęgu do sań.

Darwin wspomina jeszcze o kilku rasach psów Indyan, skrzyżowanych z wilkami, między innemi czarnego psa -- wilka u Indyan na Florydzie.

Od tych wszystkich wspomnianych gatunków różnią się wielce przedkolumbowskie psy peruwiańskie; są one więcej zbliżone do psów drugiej półkuli.

Profesor Nehring w Berlinie twierdzi podług mumij, które się znajdują w Peru, że należą one do gatunku „*Canis Ingae*". Większa część owych mumij wykazuje cechy rasy odrębnej tak co do szerści, jak i co do budowy czaszki i kończyn. Kolor szerści jest żółty w rozmaitych odcieniach, białego koloru nie napotyka się wcale. Można to sobie w ten sposób tłómaczyć, że psy owe pomimo cech rasowych nie były jeszcze o tyle oswojone, by oznaki albinizmu występowały u nich, jak łys, białe piersi, białe łapy i t. d. Z drugiej strony można i to przypuszczać, że krajowcy uważali psy z białemi odmianami za mniej cenne i nie mumifikowali ich, jako niegodne kultu tego. Szerść psów, badanych przez prof. Nehringa, jest ostra, krótka z wyjątkiem jednej mumii, która się odznacza długim włosem. Owe mumie, ogółem 17, są wszystkie średniej wysokości. Czaszkę mają wązką, okolica osady nosa jest mocno wgłębiona, a pysk zadarty ku górze. Zęby przypominają wilka. Między 17 mumiami nie znalazł prof. Nehring ani jednej, którаby pod tym względem wykazywała jakąkolwiek anologię z psami europejskiemi. Prof. Nehring podług budowy czaszki i kończyn odróżnia trzy rasy psów „*Inga*"—peruwiańskich.

a) Rasa zbliżona do owczarskiej (Canis Ingae pecuarius, Nehring).

b) Rasa zbliżona do jamników (Canis Ingae vertagus, Nehring).

c) Rasa zbliżona do buldogów (Canis Ingae molossoides, Nehring).

Pierwsza jest stosunkowo szczupłej budowy i jest podobną do małego psa owczarskiego w Europie.

Druga odznacza się krótszą czaszką, prostym pyskiem, krótkiemi a krzywemi nogami. Trzecią rasę znamionuje szeroka, krótka czaszka, wystająca dolna szczęka i krótkie, niezgrabne nogi. Na mocy troskliwych porównań i zestawiań dochodzi prof. Nehring do przekonania, że północno-amerykańskiego wilka (*Lupus occidentalis*) jako protoplastę psów Inga uważać należy, zwłaszcza wilka Texańskiego „Varietas rufa" i mexykańskiego, „Varietas mexicana."

Okazy długowłose i centkowane uważa prof. N. jako objawy, wynikłe z kultury ras pierwotnych amerykańskich. Śladów krzyżowania z psami europejskiemi nie spostrzegł on u żadnego, przez siebie badanego okazu mumifikowanego.

Jednakże przypuszczaćby można, choć z zastrzeżeniem, przymieszkę krwi azyatyckiej, bo faktem jest, że burze nieraz łodzie z ludźmi i psami z Azyi do Ameryki południowej zapędzają. To samo działo się zapewne i przed wiekami.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, d. 19 sierpnia. P. gubernator kaliski zawiadamia, że nadesłane przez Towarzystwo pieniądze, rozdzielił pomiędzy 42 strażników ziemskich, jako nagrody za prześladowanie kłusownictwa, a jednocześnie przedstawia strażnika, Mitrofana Chitruna, jako kandydata do specyalnej nagrody. Rada postanowiła nagrodę wydać, nadmieniając wszelako, że wobec otwarcia Kaliskiego Oddziału Towarz.

prawidł. myśl., Warszawski Oddział nagrodę tę wydaje po raz ostatni.

Cesarskie Tow. praw. myśl. w Moskwie zawiadamia, że we wrześniu r. b. urządza w okolicach Moskwy próby polowe wyżłów. Rada postanowiła przesłać jeden złoty i dwa srebrne medale do uznania Moskiewskiego Towarzystwa.

Członek, p. Gustaw Zieliński, właściciel majątku Strzegocin, zawiadamia o kłusownikach. dopuszczających się nieprawego polowania na jego gruntach. Postanowiono zawiadomić o tem p. naczelnika powiatu pułtuskiego.

P. Oberpolicmajster warszawski zawiadamia, że przychylając się do prośby Rady, rozkazał wydać bilet na broń członkowi Towarzystwa, p. Gerliczowi.

Komitet mającego się odbyć we wrześniu, konkursu strzeleckiego wszedł do Rady z wnioskiem, aby przeznaczone na urządzenie konkursu, 500 rubli obrócić całkowicie na nagrody, nie licząc na żaden dochód. Rada, mając na widoku protegowanie sportu strzeleckiego, przychyliła się do tego wniosku, w nadziei, że wysokie względnie nagrody przyczynią się do zachęcenia jaknajszerszych kół pp. myśliwych do wzięcia udziału w konkursie, który rozpocznie się 15 września, a skończy 10 października.

Drobiazgi myśliwskie.

Zatrucie saletrą chilijską. Jeden z myśliwych niemieckich opowiada, że polując w okolicach Krefeldu, znalazł na łące zdechłe z dnia mniej więcej poprzedniego, stadko bażantów, złożone z kury i ośmiu młodych, liczących około trzech tygodni życia. Ponieważ na ptakach tych nie znać było żadnego skaleczenia, przeto myśliwy zbadał żołądek kury, w którym prócz kamyków, nic prawie nie było, ale który miał wygląd taki, jakby był przepalony, brunatno-czarniawy; serce, wątroba i t. d. były zdrowe. U niektórych młodych znać się dały ślady biegunki. Pokazało się wreszcie, że włościanin sąsiedni kilka dni przedtem nawoził swą rolę saletrą chilijską, która zabiła całe stado bażantów, żerujące chwilę na tym nawozie.

Po kilku dniach znaleziono na tem samem miejscu zdechłe stadko innych bażantów oraz kilku kuropatw, żołądki tych ptaków odesłano do pracowni chemicznej celem dokonania analizy.

Walka kuropatwy z wronami. Wybierając się na polowanie, dwóch myśliwych, jak donosi jedno z pism łowieckich — było świadkiem niezwykłej sceny. Na skraju pola z wysokiem żytem dwie wrony usiłowały odebrać starej kuropatwie jedno z jej piskląt. Matka z nastroszonem pierzem, strwożona, uderzała na najbliższego z dwóch czarnych drapieżników, podczas gdy drugi, korzystając z chwili walki towarzysza ze starą, chciał porwać młode, ale ona i tego napastnika przepędziła. Walczyła rozpaczliwie, biegając na ruchliwych nóżkach od jednego do drugiego. Trwało to około pięciu minut, poczem myśliwi wystrzelili do obu wron i ubili je. Uszczęśliwiona matka, schowała się przez ten czas z młodemi do wysokiego żyta.

Licytacya zwierząt. W dniu 21 i 22 kwietnia odbyła się w zoologicznym ogrodzie w Antwerpii doroczna sprzedaż nadkompletowych okazów, na którą przybyli dyrektorowie zwierzyńców z Berlina, Kolonij, Hamburga, Amsterdamu, Rotterdamu i Paryża. Ceny tegoroczne były znacznie niższe w stosunku do cen zeszłego roku, szczególnie zaznaczyła się redukcya cen co do ptaków egzotycznych, któremi w nowszych czasach Europa jest prawie zasypaną, gdyż wszędzie zaczynają je hodować na sprzedaż. Zwierzęta ssące, między innemi rzadkie okazy szczurów, były sprzedawane od 50 do 200 franków, małe niedźwiadki czarne w cenie 860 fr., dwuletnie lewki senegalskie po 1800, trzymiesięczne bengalskie tygrysy po 1800, hyeny po 360, gazelle po 120, jelenie po 500, lamy po 600, tapiry po 800, kangury za parę 275. Półtoraroczny lewek z Kaplandu osiągnął cenę 1250, zebra 450, puma 350, bawół 300, renifer 150, tresowana zebu 2400 fr. Z małp sprzedawano: chaki od 130 do 150, pawiany za parę 50, makaki od 45 do 70 fr. sztuka. Python, wąż tygrysi 55 do 65, orzeł 800, pelikan 175, marabu 150, para kondorów 272 fr. Pospolite żórawie po 120, czubate po 475 franków.

Nadzwyczajności zapowiada wystawa w St-Louis w Ameryce, która się ma odbyć w 1904 roku. Znany instytut Smithsona wystawi olbrzymią klatkę z żywemi ptakami, w której mają być reprodukowane wszelkie, dotąd znane gatunki i odmiany ptaków całego świata. Olbrzymia ta klatka będzie zbudowaną w kształcie domu, długości 200 stóp. Wewnątrz klatki będą umieszczone rezerwoary z wodą, drzewa, krzewy, fontanny; korytarze poprzeczne umożliwią dostęp zwiedzającym, do wszelkich przedziałów, aby przypatrzeć się zachowaniu się i zwyczajom różnych ptaków. Główny kierunek nadaje temu przedsiębiorstwu dr. Franz Baker, główny intendent zoologicznego ogrodu.

Łoś w kłopotliwem położeniu. Wiadomem jest, że knieje w Ibenhorst i Tavellinken w Prusach Wschodnich posiadają znakomity zwierzostan łosi. Dla utrzymania tego szlachetnego zwierza, ze strony rządu robią się duże nakłady, jako to: zakładają specyalne paśniki, sąsiadujące grunta z temi kniejami są zadzierżawiane, aby na wypadek wychodzenia po za granicę kniei, zapobiedz tępieniu tych zwierząt. Ponieważ tego roku niższe miejsca zalane były przez wodę wskutek wezbrania rzeki Memel, łosie, pomimo, że nasypy są urządzone, aby tam mogły się schronić przed powodzią, wędrowały z kniei i przepływały bystre potoki, aby wydostać się na suche tereny, wyżej położone. Wędrówki te atoli nieraz przypłacały śmiercią. W podobnem położeniu znalazła się klempa, która już dopływała do brzegu zamarzniętego jeszcze. Kiedy zaczęła się wdrapywać na lód, załamała się i dłuższy czas walczyła ze śmiercią wskutek wyczerpania sił. Na szczęście spostrzegli pracujący w blizkości rybacy i podpłynąwszy łodzią, biedaczkę wyratowali. Przewieziona do poblizkiej karczmy i umieszczona w ciepłej stajni, szybko przyszła do siebie, a w kilka dni później została odstawioną do leśniczówki w Ibenhorst.

Straszny epizod ze lwem. Młody oficer francuski, Carpeaux, miał niedawno straszny przypadek ze lwem, który on sam w liście do brata swego opisuje. Wybrał się na lwy, w okolicach Timbuktu, w Afryce środkowej, z jednym tylko żołnierzem. Jakoż niezadługo ujrzał pysznego lwa; strzelił, a zwierz raniony, począł uchodzić, on za nim w mniemaniu, że go już znajdzie zdechłego. „Wyszedłszy z gęstych krzaków, pisze p. C., spostrzegłem go na 50 kroków przed sobą, bijącego się ogonem po bokach i patrzącego wściekłym wzrokiem na mnie. Uklękliśmy obadwaj, celując w głowę. Lew w potężnym skoku posunął się ku mnie i obalił mnie łapą, miażdżąc mi prawe ramię i nogę. Raptem puścił mnie, stając o dwa metry odemnie i oglądając się za moim, uciekającym towarzyszem. Skorzystałem z tej chwili (dotąd nie mogę się wydziwić mej zimnej krwi), chwytam sztucer, a lew, raniony śmiertelnie, padł jak kłoda, właśnie w chwili, gdy się ruszył, by mi zadać cios ostatni.“ Nieustraszony oficer leży obecnie w szpitalu, ale jest wszelka nadzieja uratowania go.

O jadzie wężowym i środkach zapobiegawczych ciekawy opis podaje Londyńskie pismo. Między innemi nadmienia, że tak zwane małpy lisie, mongozy (*Lemur mongoz*) są wielkimi nieprzyjaciółmi wszelkich wężów i gadów jadowitych i przed walką zjadają listki pewnej rośliny, której spożycie zapobiega zgubnym skutkom ukąszenia i jest niejako antidotum. Mongozy pojawiają się głównie w Indyach i specyaliści chodzą

z temi zwierzątkami i zapasem tak zwanej rośliny Obi, aby dane miejscowości oczyścić z jadowitych gadów. Roślina ta nietylko jest użytecznym środkiem dla zwierząt ale i dla ludzi; doświadczył jej pewien angielski marynarz, który po ukąszeniu przez węża-okularnika spożył kilka listków do wewnątrz i na zewnątrz się natarł i szczęśliwie się wyleczył. Wąż Fer-de-lance, przebywający w Indyach Zachodnich jest więcej niebezpieczny od węża-okularnika i koty nie boją się go i atakują, z chwilą ukąszenia zaś zjadają listek rośliny, podobnej do naszej koniczyny i również wychodzą cało. Na wybrzeżu wschodniej Afryki spotyka się trzy niebezpieczne węże jadowite: zielonego, i niebieskiego węża-momba, dużego zielonego węża trzcinowego i małą żmiję nocną. Krajowcom ukąszenie tych wężów nie szkodzi, gdy Europejczycy po części umierają od ukąszenia tych wężów, co dowodzi, że krajowcy znają rośliny zapobiegające niebezpiecznemu działaniu jadu wężowego.

Walka gawiala z tygrysem. W jednem z angielskich pism znajdujemy następujący opis walki gawiala *) z tygrysem: Na skraju wsi indyjskiej znajdował się „jheel", to jest kotlina między dwoma pagórkami, sucha w lecie, a przepełniona wodą w porze deszczowej. „Jheel" łączył się z małą rzeczką, wpadającą do Gangesu. Gdy rzeczka występowała z brzegów, okoliczni mieszkańcy zażywali w niej kąpieli. Pewnego wieczoru brał kąpiel taką jeden z wieśniaków; pluszcząc się swobodnie, nie zważał, że na przeciwległym pagórku usadowił się tygrys i gotował się do skoku. Ale krwiożercza bestya nie dosięgła swej ofiary, nie znając widocznie zasad matematycznych, obliczyła fałszywie odległość i dała susa tak ogromnego, że wpadła w wodę około 10 stóp po za kąpiącym się. Przypadek chciał, że na amatora kąpieli połakomił się także aligator, który, zbliżając się powoli i słysząc głośny plusk, otworzył paszczękę i pochwycił—łapę tygrysa! Kąpiący się wieśniak struchlał oczywiście, gdy ujrzał tygrysa, ale zdziwił się potem niemało, że bestya nie nawraca, lecz rzuca się w okropnych konwulsyach i farbuje naokół wodę. Dopiero, gdy z pod wody wychylił się potężny ogon gawiala wyjaśniła się cała historya. Wieśniak co prędzej umknął z wody i z pobliskiego drzewa obserwował dalszy ciąg walki. Gawial ciągnął tygrysa ze wszystkich sił na dno, tygrys zaś walił wolną łapą po głowie swego przeciwnika. Ponieważ łeb wodnej bestyi znajdował się pod wodą, uderzenia tygrysa traciły na sile, ruchy jego słabły i wreszcie zniknął pod powierzchnią wody. Gawial tego wieczoru miał posilną w każdym razie kolacyę.

Wywóz przepiórek z Sycylii. Od kilku lat wywóz żywych przepiórek z Messyny do Anglii przybrał wielkie rozmiary. Głównymi dostawcami tego smakołyku są okoliczni mieszkańcy z Faro i Mana S-to Georgio na północ od Messyny, a na południe z Galati, Giampolieri, Santa Teressa i Santo Stefano. Chwytanie odbywa się za pomocą sieci i wnyków. Po schwytaniu, przepiórki przez kilka dni dla przyzwyczajenia się trzymane bywają w klatkach, gdzie je karmią siemieniem lnianem i innemi ziarnkami zboża tłuczonemi i następnie odbywa się przewóz statkami do Genui, a z Genui koleją przez Chiasse do Anglii. Rocznie wywóz wynosi od 90000—100000 sztuk, a cena w Messynie za sztukę bywa od 40—50 centymów. Mniejsze partye przepiórek już w październiku nadchodzą z Egiptu i Tripolisu do Messyny do dalszego wywozu do Anglii. Wiadomość ta oparta jest na statystycznym wykazie angielskiego konsula w Sycylii.

Polowanie na wyspach Oceanu Indyjskiego. Komendanci angielskich okrętów wojennych w czasie postoju floty i wypoczynku pozwolili swoim podkomendnym oficerom odbywać wycieczki myśliwskie na wyspy i wysepki w rejonie komendy. Według sprawozdań tych oficerów zwierzostan na owych wyspach jest bardzo liczny i różnorodny, zwłaszcza na wyspie Rodriguez, gdzie się napotyka mnóstwo jeleni, perliczek, kuropatw, królików i t. d. Co do rozmnożenia zwierzostanu na tych wyspach należy się zasługa admirałowi Sir Williamowi Kennedy, który dbając o zdrowie swych podkomendnych, skazanych na solone konserwy, starał się o to.

*) *Gawial*—gatunek krokodyla wschodnio-indyjskiego.

Słonie na torze kolejowym. Według angielskiej gazety niedawno zdarzył się na Bengalskiej drodze żelaznej następujący wypadek. Naczelnik ruchu odbywał doroczną rewizyję i jadąc specyalnym pociągie około północy przez gęsty las doznał naraz gwałtownego wstrząśnienia i pociąg nagle zatrzymał się. Przyczyną tego przymusowego postoju było najechanie lokomotywy na stado słoni, które odbywało przechadzkę nocną wzdłuż plantu. Parowóz zderzył się z jedną sztuką, a uderzenie było tak silne, że przednie koła wykoleiły się. Całe szczęście, że pociąg wtenczas pod górę biegł wolno, i skończyło się tylko na wykolejeniu parowozu. Słoń stracił wprawdzie tylko dwie zadnie nogi, lecz wskutek wewnętrznych obrażeń zdechł i na drugi dzień w drodze powrotnej znaleziono go w rowie przy plancie. Maszynista doliczył się w tem stadzie 8 sztuk i zauważył, że lekką kontuzyę odniosła jeszcze młoda sztuka, która strasznie rycząc, pognała za wystraszonem stadem.

Wykazy Myśliwskie.

W dobrach Trzebień-Magnuszew (gub. radomska pow. kozienicki) hr. Jana Zamoyskiego, w 1902/3 roku ubito:

a) zwierzyny użytecznej:

jeleni 11, łań i cieląt 30, dzików 10, rogaczy 20, zajęcy 1184, cietrzewi 3, kuropatw 586, przepiórek 4, bekasów 21, kaczek 75.

Razem zwierzyny użytecznej szt. 1944.

b) szkodliwej:

lisów starych 12, młodych 22, kun 3, łasic 11, psów 39, kotów 29, wiewiórek 63, jastrzębi 49, kruków 2, wron 485, srok 31, sów 4; wybrano jaj 378.

Razem sztuk 1128. Wogóle padło sztuk 3072.

W dobrach Podzamcze (gub. siedlecka, pow. garwoliński,) hr. Andrzeja Zamoyskiego w 1902/3 ubito:

a) zwierzyny użytecznej:

jeleni 3, dzików 5, rogaczy 2, zajęcy 373, cietrzewi 6, kuropatw 745, przepiórek 2, dubeltów 1, kaczek 68, różnych 3.

Razem sztuk 1208

b) szkodników:

lisów starych 5, młodych 26, kun 8, łasic 13, psów 118, kotów 52, wiewiórek 641, jastrzębi 88, wron 308, srok 157, czaplę 1, różnych 145.

Razem sztuk 1562. Ogółem padło sztuk 2270.

Nadmienić wypada, iż w roku 1902/3 nie było głównego polowania w Podzamczu, które daje zwykle około tysiąca sztuk, a które odbywa się co drugi rok.

W dobrach Włodawskich, należących do hr. Augusta Zamoyskiego, od d. 1 lipca 1902 do d. 1 lipca 1903 roku padło ogółem: zwierzyny użytecznej: 32 dziki, 20 rogaczy, 171 zajęcy, 6 cietrzewi, 23 bażanty, 485 kuropatw, 1 przepiórka, 7 słonek, 3 kszyki, 135 kaczek.—Drapieżnej: 34 lisy stare, 23 lisy młode, 7 borsuków, 3 kuny, 6 tchórzy, 19 łasic, 193 psów, 316 kotów, 51 jeży, 7 chomików, 126 wiewiórek, 322 jastrzębi starych, 20 jastrzębi młodych, 31 kruków, 2063 wron, 38 srok, 20 czapel, 6 rybitw, 58 bocianów, 2 mewy, 4 bąki, 66 sów. Strzelb odebrano kłusownikom sztuk 4.— Ogółem padło użytecznej 883 i drapieżnej 3417, razem 4300 sztuk. Wskutek takiej zabiegliwości

właściciela-myśliwego, zwierzostan pomimo niesprzyjających warunków atmosferycznych i rozpanoszonego kłusownictwa, z każdym rokiem zwiększa się.

SPROSTOWANIE.

W zamieszczonem w N-rze 15 „Łowca Polskiego" sprawozdaniu z ekspertyzy broni i przyborów myśliwskich na Wystawie Sportowej zaszła pomyłka co do nagród, przyznanych firmie J. Sosnowski, którą prostujemy, zaznaczając, że firmie tej przyznano:

a) medal wielki złoty za broń myśliwską własnego wyrobu z wprowadzeniem nowych ulepszeń,

b) medal mały złoty za wybór broni zagranicznej,

c) medal mały złoty za przybory myśliwskie własnego wyrobu.

Treść Nr 17 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „**Łowca Polskiego**" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

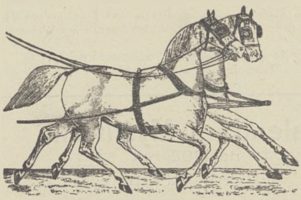
NAJWIĘKSZY WYBÓR
Cygar Zagranicznych i Krajowych
oraz wszelkich Wyrobów Tabacznych

POLECA SKŁAD (58)
G. CZERNICKIEGO i S-ki
Trębacka 11, Filja Nowy-Świat 39.
Jako specyalność polecamy wyborowe papierosy obstalunkowe.

APTEKA
Dostawcy Dworu J. C. Mości
WŁ. BORZĘCKIEGO

w d. 12 Maja r. b. przeszła na własność
Leona Modlińskiego
59 Krakowskie Przedmieście 59.

Po gruntownem zaopatrzeniu we wszelkie najnowsze środki i utensylia, w lecznictwie używane, prowadzona będzie pod osobistym zarządem
(100) **WŁAŚCICIELA.**



Zawiadomienie.

Niniejszem mam honor zawiadomić JW. W. Panów, że istniejący od lat 20 przy ulicy Nowy-Świat № 58 mój zakład rymarsko-siodlarski po przeniesieniu na ulicę **Królewską № 23** połączyłem z nabytym przezemnie takimże zakładem, który istniał przy fabryce powozów W. Romanowskiego pod firmą Walery Wtorkowski. Nadal wspomniane zakłady prowadzić będę pod własną f. **„A. Chojnicki“, Królewska 23.**

Z głębokim szacunkiem
A. Chojnicki.

A. GUIRARD
Królewska №. 23.

MEBLE wszelkich stylów
(33) własnego wyrobu.

FABRYKA POWOZÓW
KAROLA BERGER
w Warszawie, ulica ORLA № 9.
Poleca wielki wybór powozów gotowych. (30)

Istnieje od 1854 r.
Pracownia wypychania zwierząt i ptaków
Antoniego Łastwoskiego
dawniej S. WYSOCKIEGO
Krakowskie-Przedmieście 22.

Mam honor zawiadomić Szanowną Publikę, że pracownię moją przeniosłem z pod Nr. 20 pod Nr. 22 (dom obok).

A. Łastowski
(4) Uczeń Delesalle'a w Paryżu.

Fabryka Powozów A. Hertel



Warszawa.
DŁUGA Nr. 29.

Egzystuje od 1850 r.
Posiada zapas powozów najświeższych modeli.
Przyjmuje obstalunki i reparacye.
Cenniki illustrowane gratis i franco. (25)

Tylko 4 ruble!! Zamknąć oczy i kupić! **Tylko 4 ruble!!**

Kompletny dzwonek elektryczny z planem urządzenia samemu sobie. Takiż dzwonek z ostrzegaczem od złodziei **Rbl. 5**. Telefony znakomite, zastosowane dla osób, mających dzwonki elektryczne **Rb. 8 50**. Telefony wiorstowe z planem urządzenia **Rbl. 30**. Piorunochrony, dzwonki, drut, przyciski, elementy. Wysyła się monterów do zakładania dzwonków.
Adres: Nowy-Świat № 23. — Kantor I. Millera. (73)

BRACIA THONET
Marszałkowska 141.
MEBLE GIĘTE
(32) WIELKI WYBÓR.

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Августа 1903 г. Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa.